Ukraina – Hoverla

Cel – Hoverla (2061 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2007

Kto – Dziku

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku

Dziku'2016: Po prawie 9 latach z przyjemnością przeczytałem relację z mojego pierwszego w pełni samodzielnego wyjazdu. Poniżej prezentuję nową odsłonę. W minimalnym stopniu przeredagowałem tekst, z którego usunąłem niecenzuralne słowa i jeden błąd ortograficzny oraz przebrałem i delikatnie poprawiłem zdjęcia. Zdecydowałem się też dodać kilka komentarzy, to te pisane kursywą.

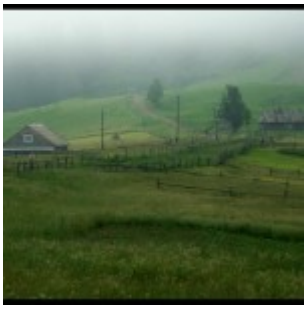

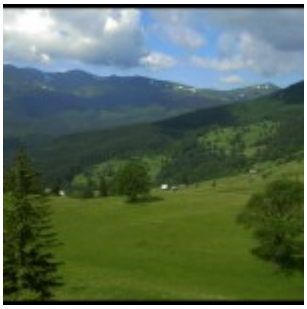

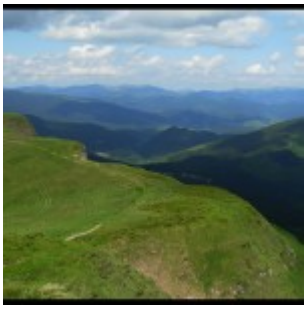

BX 9252 AE

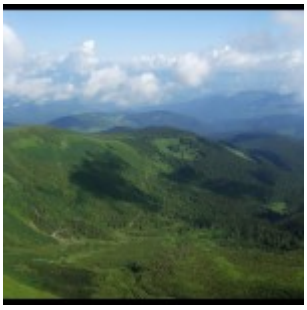

Dziku’2016: Wyjazd na Ukrainę w 2007 roku był jednym z pierwszych wyjazdów związanych tylko i wyłącznie z Koroną Europy. Rok wcześniej nieco przypadkiem zdobyliśmy z przyjaciółmi Ben Nevis w Szkocji, wkrótce potem pojechałem z grupą nieznanych mi wcześniej osób do Rumunii i to zaowocowało wejściem na Moldoveanu. Następnie wziąłem udział w najprawdziwszej turystycznej wycieczce (tak, tak, z biurem podróży) do Grecji i tam, już z własnej inicjatywy wspiąłem się na Mitikas. Zatem Hoverla była moją zaledwie czwartą górą Korony Europy (nie wliczając Śnieżki). Ten brak doświadczenia można wyczuć już w pierwszym akapicie. Niepewność, nieuzasadnione obawy no i przede wszytkim: głębokie przeżywanie wszystkiego wokół, wzmocnione tym bardziej, że jechałem tam sam.

Dzień 1

Sobota minęła dobrze. Pociąg zaliczał stacje z dokładnością do 15 sek. Bus z Krakowa wyjechał punktualnie a na granicy ominął boczkiem gigantyczną kolejkę i już byłem na Ukrainie. W ogóle spodziewałem się jakichś nieprzyjemności na granicy ale się jakoś obyło. No może poza zamieszaniem z Karteczkami. Piszę

przez duże K bo te Karteczki to muszą być niezwykle ważne dla Ukraińców. W każdym dialogu kierowców z celnikami wyławiałem słowo Karteczka. Coś tam nawet pani po ukraińsku na mnie nakrzyczała, że niby coś źle wpisałem na Karteczce i żebym dał jej różdżkę to poprawi.
Jako że bilans musi wyjść na zero obawiam się o jutro. Cosik to za gładko dziś poszło.
Ale żeby nie było że tak wszystko gra gitara to widziałem pod Przemyślem niemiły wypadek. Kolizja samochodu z wozem ciągniętym przez konie. Przykro mi się zrobiło jak zobaczyłem martwego konia na jezdni, ale już sekundę później zryty umysł podsunął mi wizję czarnego plastikowego worka w kształcie konia.
Aha no i jeszcze pierwszy sik po ukraińskiej stronie – w obleśnej ubikacji stojąc przy pisuarze skapała mi na włosy ciecz z groźnej czarnej dziury ziejącej w suficie dokładnie nade mną. Pierwsze co pomyslałem, to że tam u góry też ktoś sika…

Dzień 2

O 8 rano jestem już w Jasinii, która będzie moją bazą wypadową.
Jazda z Iwano-Frankowska busem była dosyć wyjątkowa.
Pokrótce: do busa (miejsc siedzących 18) wchodzi 27 pasażerów, z czego połowa ma wielkie torby, dechy, reklamówy i tylko zwierząt hodowlanych brakuje. Wszyscy zajmują miejsca na chybił trafił – siedzące lub stojące. Dopiero gdy jest komplet i bus odjeżdża zaczyna się cyrk:
Ludzie mający na biletach numery miejsc siedzących zaczynają się rozglądać za swoimi siedzeniami. Fotele oznaczone są metkami cenowymi, z czego część się odkleiła i teraz dojdź tu za pomocą logiki które miejsce jaki ma numer. Po parunastu minutach akrobacji (w pewnym momencie stałem na palcach jednej nogi zgięty w pasie o 90 stopni) wylądowałem na końcu busa. Stamtąd łatwo mogłem stwierdzić, że w ciągu tego krótkiego czasu miejscami zamienili się prawie wszyscy z wszystkimi.

Właściwie poza kierowcą nie zauważyłem głowy która by przed odjazdem znajdowała się w tym samym miejscu.
W każdym razie dotarcie z Wrocka w Czarnohorę w 20 h uważam za sukces i nie przejmuję się że do wieczora pada i nie udaje mi się wejść na Bliźnicę.
A wieczorkiem – wychodzi słońce i wyruszam na rekonesans przed jutrzejszym wyjściem w góry. Spacer owocuje nowymi znajomościami – na wzgórzu, na skraju lasu natykam się na grupkę piknikujących młodych Ukraińców. Nie zjedli mnie, natomiast poczęstowali mnie owczym serem, kiełbasą, mięchem z barana (podobno) no i wódką oczywiście.
Ja mówiłem po polsku, oni po ukraińsku, ale jakoś wszystkim się wydawało, że wszystkich rozumieją.
Jeszcze w miasteczku walnęliśmy po browarku w rodzinnym barze i polazłem spać. Jutro ruszam na Pietrosa i Howerlę.

Dzień 3

Dziku'2016: „Teraz tylko strome zejście, przełęcz…" hahaha jak widzę już wtedy miałem specyficzne podejście do tempa i odległości. Tym bardziej, że na jednym ze zdjęć widzę, jaki to był spacer z samego Pietrosa pod Howerlę. Dodatkowo w plecaku namiot, śpiwór i prowiant. Organizmu fizycznie nie oszczędzałem, dodatkowo od początku do dziś (w nieco mniejszym stopniu) cechuje mnie ignorancja, jeśli chodzi o uzupełnianie kalorii. Ale decyzja, by będąc tak blisko szczytu zawrócić z powodu chmur na choryzoncie zasługuje na pochwałę.

Podejście na Pietrosul (1855) na początku całkiem przyjemne. Z rana trochę przeszkadzała bardzo gęsta mgła ale kompas dawał radę. Zdjęcie przy pomniku armii czerwonej. Pojawia się słońce. Jest git.
Co jakiś czas spotykam pasterzy, którzy chętnie pomagają – wskazują drogę, dostaję świeżutką wodę prosto ze studni, a nawet mleko – do wyboru – słodkie lub kwaśne. Jak tu się nie czuć bezpiezcznie.
Po dotarciu niedaleko Pietrosula robię trochę głupią rzecz w związku z nawigacją i zamiast opuścić ścieżkę i iść dalej

granią do bliskiego już szczytu zaczynam trawersować grzbiet drogą z drugiej strony cały czas tracąc wysokość. Gdy podejmuję decyzję żeby leźć na skróty prosto na górę jest już trochę za późno i czeka mnie mordercze podejście stromizną przez gęsty las. Najgorsze były gałęzie zaczepiające na każdym kroku o plecak i wbijające się w karimatę no i wizja ugryzienia przez żmiję na takim odludziu. Po jakimś czasie docieram jednak na połoninki i porządnie zczochrany staję na Pietrosulu (1855).
Tu odbywa się pogrzeb Miśka w Kulce. Misiek pochodzi z Chin (napis 'made in china' na pleckach) ale ja znalazłem go wkopanego w piasek na plaży w Grecji. Przygarnąłem go do swojego plecaczka i od tamtej pory towarzyszył mi praktycznie wszędzie. Zarówno codziennie jechał ze mną do pracy jak i na wyprawy wszelakie i w ogóle wszędzie. Dzisiaj sekundę po zrobieniu mu zdjęcia z Pietrosem w tle Misiek stoczył się pomiędzy kamienie kopczyka usypanego na szczycie. Mimo próby rozgrzebania kopczyka nie byłem w stanie go odnaleźć. Myślę że jego historia jednak się nie skończyła i albo odnajdzie go tam jakiś turysta i Misiek znów zacznie podróżować albo sam zorganizuję misję ratunkową. Może to była Jego decyzja żeby tam pozostać… Poprawiłem kopczyk i wbitego w niego patyka i poszedłem na Pietrosa (2020).
Teraz tylko strome zejście, przełęcz, znów podejście i stoję na grani 30 min od szczytu Howerli (2061).
Tu wahanie – słyszę jakieś grzmoty, robi się ciemno. Ja zmęczony jak diabli więc nie wbiegnę na górę za szybko. Jest 17:30 a ja od rańca maszeruję z pełnym plecakiem. W sumie tego dnia zrobiłem już około 1800 metrów przewyższenia. Iść nie iść – kręcę się w kółko. Kolejny grzmot, ulewa i już bez żadnych wyrzutów sumienia zbiegam z 1850 na jakieś 1550 m wysokości, gdzie koło chatki strażników parku zamierzam rozbić namiot. Tam niespodzianka. Chatka otwarta a w drzwiach brodacz, który woła że miejsca jest dużo i żebym wszedł do środka. Pierwsze co widzę po wejściu to wyciągnięta w moim kierunku ręka trzymająca butelkę śliwowicy.
Moi towarzysze okazali się czeskimi badaczami owadów.

Najstarszy z nich – 51 letni 'Ruda' zwiedził już chyba cały świat. Opowiadał mi o każdym miejscu o które zapytałem. Od Madagaskaru, RPA, Kenię i w ogóle całą Afrykę przez całą Europę po Ural, Tien Szan i Mongolię w Azji. Koleś był chyba naprawdę wszędzie. Po paru godzinach rozmów idziemy kimać. Mi się dostaje miejsce przy oknie. Unoszę troszke głowę i widzę czubek Howerli. Tak blisko a ja muszę całą noc czekać. Chyba przez to prawie całą noc nie spałem. No i może jeszcze za sprawą chrapiących Czechów.

Dzień 4

Dziku'2016: To o czym już wcześniej wspomniałem, czyli nieoszczędzanie organizmu i niedawanie prawie nic w zamian prędzej czy później wychodzi. Tak było na Ukrainie i tak było na wielu późniejszych wyjazdach. Długo nie potrafiłem się nauczyć, że jak się nie zatankuje to się nie pojedzie. Do tego sprzęt, którego wtedy używałem nie pomagał. Z butami trafiłem ale o odzieży termoaktywnej nie słyszałem. 2 miesiące później w tym samym podkoszulku, klasycznej „żonobijce" będę zdobywał Zugspitze w Alpach. Ze zdjęciami faktycznie miałem problem, klikałem z automatu. W domu byłem rozczarowany, że zdjęcia były tak prześwietlone. Za to pod akapitem zamieściłem krótki filmik dokumentujący wejście na szczyt. Te ostatnie metry to charakterystyczny moment, kiedy niepewność ustępuje. Pojawiają się inne emocje, na różnych szczytach różne. Zależne od wielu czynników, na pewno nie od wysokości nd poziomem morza. I w tej chwili nie liczy się nic innego.

O 7:20 startuję na górę. Znów te same co wczoraj słupki informujące o wysokości na jakiej się najduję. 1600, 1700, 1800… odległość, którą wczoraj dysząc pokonywałem chyba z godzinę dziś po prostu przebiegam. W 55 minut od wyjścia z chatki stoję na szcycie (500 metrów przewyzszenia). Howerla (2061) – najwyższy szczyt Ukrainy. Widoczki cudne, zresztą jak i podczas całej wycieczki. Nistety trudno mi zrobić dobrą fotkę bo się na fotografice kompletnie nie znam. Obiecuję sobie że następnym razem przestudiuję manuala zanim się gdzieś

wybiorę.
W momencie gdy zaczynam schodzić przylatuje bardzo gęsta chmura. Złażę w złym miejscu i gdy chnurę wywiało zdaję sobie sprawę że stoję nad strasznymi stromiznami. Jakbym tamtędy schodził dalej znalazłbym się na dole znacznie szybciej niż wg czasu z przewodnika. Wędrówka połoniną Gropa (1670) niezapomniana. Po prawej cały czas widoczna Howerla od podstawy aż po szczyt, po lewej Pietros w chmurach, w słuchawkach soundtrack z 'Bandyty' i po prostu żyć nie umierać.
Ostatni piknik, czekoladka, herbatka, rzut oka na Górę i złażę drogą biegnącą w las. Akurat leci kawałek 'Time to go home' – Michael Franti and Spearhead, tylko że ja nie chcę wracać! Do samej Jasinii zaszedłem przez Koźmieszczyk i Łazeszczyznę. Bilans to jakieś 10 – 11 h wędrówki (głównie w dół).
Po 18 gdy leżę umyty na wyrku zaczyna się niezła burza. Kurna coś nade mną czuwa.
Ps. wkładki Wolfskina jakie sobie sprawiłem na wyjazd to był strzał w 10-tkę. Jutro stwierdzę że po 3 (właściwie 4) dniach wędrówki po górach z plecakiem czuję się jakbym się przeszedł w kapciach z łazienki do pokoju. Jednak dzisiaj gorzej z resztą organizmu. Nie wiem co mnie dopadło ale w nocy miałem piekiełko. W każdym razie po fervexie i całonocnych dreszczach, majakach, wizjach śmierci lub co najmniej ukraińskich szpitali rano czułem się zdrowy.

Dzień 5
O 9 wyszło słońce i zapomniałem że cokolwiek mi dolegało. Pobiegłem (niemal dosłownie) na Bliźnicę (1880) – najwyższą górkę pasma Świdowiec. Na grani woła mnie i podbiega dwójka wesołych chłopaków. Starszy przestawia się jako Jura i podając mi wielką wypasioną lornetkę proponuje obejrzenie widoków. Bardzo mili ludzie. Z Bliźnicy widoki są niesamowite. Obojętnie w którą stronę patrzysz – wszędzie grzbiety Karpat.

Z bólem serca zbieram się do zejścia. Włączam playera a tu „Walking down the hill” Travisa. Czasem się dziwię jak te kawałki sympatycznie się zgrywają z otoczeniem. Podróż na dół to już zupełny odjazd. Z wysokości ok. 1200 metrów łapię stopa – wielką radziecką ciężarówę (chyba Ził) wracającą z placu budowy w okolicy kurortu narciarskiego w Drahobracie na Świdowcu. Jazda stromą drogą z głębokimi koleinami, po wielkich głazach lub mostkami z drewnianych bali ułożonymi nad strumykami to niezły hardcore. Szczególnie podobało mi się jako kierowca zjechał na krawędź skarpy nad sporym strumieniem w celu przepuszczenia ciężarówki jadącej z naprzeciwka. Tą megajazdą zaoszczędziłem z 1,5 h marszu.
Czego się nie udało zrobić w niedzielę, udało się w środę. Jest cudnie ale trzeba wracać. Jutro jadę do Iwano-Frankowska, gdzie jestem umówiony z moim 'bus-teamem’.

Dzień 6

Bardzo ładne miasto. Około 250 tys. mieszkańców, uczelnie wyższe, deptak, studenci. Spotykam się tu z dwójką ludzi, których poznałem w busie w drodze z Polski na Ukrainę i bardzo się zgraliśmy. Dorota (krakowska studentka, która jechała do Iwano-Fr. na praktyki) i Ukrainiec Andriy – przesympatyczny człowiek, który od początku pomaga nam jak może. Od popołudnia do chyba 2 albo 3 w nocy szwędamy się nad rzeką, po mieście, parkach i jeziorkach. Podczas tych spacerów nikt nas w tym czasie nie zaczepia i nie robi nam krzywdy. Wszyscy stwierdzamy to samo – nie znając się właściwie wcale czujemy się jakbyśmy się znali od 15 lat. Na koniec ląduję na karimacie w ukraińskim akademiku. Otrzymuję jeszcze propozycję raftingu w weekend, ale z bólem serca muszę odmówić.

Dzień 7

Na dworcu miła niespodzianka – spotykam grupę turystów z Moskwy, których spotkałem na Pietrosie. Oni zrobili jeszcze Popa Iwana z ruinami polskiego obserwatorium na szczycie. No cóż, ja to przełożyłem na następny raz. Bo co do tego że na

Ukrainę wrócę to nie mam wątpliwości.
O 14 ma podjechać autobus Kołomyja – Przemyśl. O 14:15 dowiaduję się, że autobus z Kołomyji nawet nie wyjechał i wyjechać nie ma zamiaru. Wraz z pewnym małżeństwem (Polscy Niemcy urodzeni na Ukrainie – bardzo mili i interesujący ludzie), dajemy się porwać ukraińskiemu zawodowemu kierowcy, który swoim czerwonym złomkiem łamiąc wszystkie zakazy i korzystając z zasady „światło prawie czerwone" dowozi nas do Przemyśla. Po drodze kilka razy jedziemy na czołówkę. Wyprzedzanie na 3-ciego i totalny chaos na okrutnie dziurawych ulicach to na Ukrainie normalka.

Przemyśl – z prawej atakuje mnie zgrzybiały żul. Z lewej jakiś debil napiernicza w kółko to samo zdanie. Z dołu wychodzą ćpuny a z góry zbiegają łyse dresy. Chowam aparat i mp3 do plecaka. Po raz pierwszy na tej wycieczce naprawdę obawiam się o zdrowie i dobytek. Welcome home.

– END –

Dziku'2016: I na koniec nauczka, którą do dziś pamiętam: jadąc na Ukrainę nie zabiera się słoików z jedzeniem (fasolka po bretońsku, klopsiki, gołąbki…). Za obiad z piwem płaciłem mniej niż za jeden słoik w Polsce. Ale co się ciężarów nadźwigałem i samemu w głowę popukałem to moje.